BEN HUR.

Opowieść z czasów Chrystusa przez Lew Wallase

Tłumaczyła z angielskiego Zofia Grabowska.

(Ciąg dalszy.)

— Nauczył się być ostrożnym; możnaby go nawet nazwać podejrzliwym. Napróżno starałem się z niego co wydobyć; dopiero kiedyśmy opuścili źródło Kastalskie i byli na drodze do wsi Dafne.

— Ohydne miejsce! Poco on tam poszedł?

— Zdaje mi się, że przez ciekawość; tak samo jak wielu innych; ale dziwna rzecz — nie interesowało go to co widział, o świątynię zapytał tylko, czy jest w greckim stylu. Czcigodny panie, ten młodzieniec ma jakieś cierpienie w duszy, które chciałby ukryć i poszedł do gaju pogrzebać to cierpienie, jak idziemy na cmentarz grzebać zwłoki naszych zmarłych.

— Byłby to bardzo pożądany stan rzeczy,— rzekł Simonides z cicha potem dodał głośno: Malluchu, plagą naszych czasów jest marnotrawstwo: ubodzy popadają w większą jeszcze biedę przez naśladowanie bogatych, a zamożni rujnują się książęcą wystawnością. Czyś zauważył jaką słabostkę w tym młodzieńcu? Czy trwonił pieniądze — rzymską lub izraelską monetę?

— Nie, nie, cny panie.

— Tam było tak wiele pokus do nadużyć -- to jest, tak wiele rzeczy do jedzenia i picia... musiał cię pewno hojnie częstować. Sam młody wiek każe się tego domyślać.

— Ani jadł ze mną, ani pił.

— Czyś nie zmiarkował z jego słów i postępków jakiej myśli przewodniej? Wiesz, że czasem najostrożniejszemu wymknie się niebaczne słówko.

— Wytłómacz się jaśniej, — rzekł Malluch.

— Wiesz dobrze, mój Malluchu, że gdy mówimy, gdy działamy, a tem bardziej, gdy postanawiamy coś ważnego, zawsze powoduje nami jakaś pobudka. Cóżeś w nim zauważył w tym względzie?

— Co do tego, mogę ci odpowiedzieć cny Simonidesie: przedewszystkiem chce się on poświęcić odnalezieniu matki i siostry; prócz tego żywi żal do Rzymu; a ponieważ Messala, o którym ci wspomniałem, ma jakąś łączność z krzywdą, jakiej doznał, główną zadaniem jego jest teraz — upokorzyć go. Spotkanie przy źródle dostarczyło sposobności, ale nie skorzystał z niej, gdyż chce wystąpić przed większą ilością widzów.

— Messala jest człowiekiem wpływowym, — rzekł Simonides, wpadając w zadumę.

— Prawda, ale spotkają się z sobą na cyrkowej arenie.

— I cóż tam ma nastąpić?

— Syn Arrjusza odniesie zwycięstwo.

— Skąd wiesz?

Malluch uśmiechnął się.

— Wnoszę to z jego słów.

— Czy masz ten jeden dowód?

— Nie, mam lepszy — jego odwagę.

— Dobrze, mój Malluchu, ale jakie będą granice jego zemsty?

Czy ona dosięgnie tylko tę garstkę ludzi, którzy go skrzywdzili, czy też ogarnie cały naród? Prócz tego, czy jego pragnienie zemsty jest tylko fantazyą wrażliwego chłopca, czy też dojrzałem uczuciem zbolałego męża? Ty wiesz Malluchu, że marzenie o zemście ma korzenie w umyśle i że jeden promień słońca zdoła je rozwiać; podczas kiedy namiętność zemsty, to choroba serca, która sięga aż do mózgu i czerpie siły zemsty tak z jednego jak z drugiego.

-- W tej kwestyi Simonides poraz pierwszy zdradził się z uczuciem: mówił szybko, z zaciśniętymi pięściami zdawało się, że patrzy na chorobę, którą opisuje.

— Czcigodny panie nasz, — odpowiedział Malluch, — właśnie jedną z przyczyn wiary mojej, że młodzieniec ten żydem, jest siła jego nienawiści. Widziałem że się hamuje, co jest naturalne, ze względu, że tak długo żył w atmosferze zazdrości rzymskiej; alem widział także, iż rozpromienił się raz, gdy zapragnął dowiedzieć się, jakie są uczucia Ilderima względem Rzymu, a potem znów, kiedym mu opowiadał historyę o szeiku i mędrcu, gdym mu wspomniał o zapytaniu: Gdzie jest ten co się urodził królem żydowskim.

Simonides pochylił się żywo.

— Ach Malluchu, powtórz mi jego słowa, powtórz, chcę wiedzieć, jakie wrażenie uczyniła na nim owa tajemnica.

— Pragnął usłyszeć dosłownie, czy trzej pielgrzymi pytali o „tego, który jest królem żydowskim, czy też o „tego, który ma być królem żydowskim". Zdawało się, że upatruje ważną różnicę pomiędzy temi dwoma wyrażeniami.

Simonides powrócił do postawy słuchającego sędziego.

— Wtedy powiedziałem mu, — rzeknie Malluch, — jak się Ilderim zapatruje na tę tajemnicę, że król przybędzie, żeby położyć koniec państwu rzymskiemu. Młodzieńcowi krew uderzyła do lica i czoła i wyrzekł poważnie: Któż inny, jeśli nie Herod może być królem, dopóki Rzym panuje?

— Co rozumiał przez to?

— Że państwo rzymskie musi być zburzone, zanim nowe rządy nastąpią.

Simonides przyglądał się niejaką chwilę z zadumą okrętom oraz ich cieniom, zwolna posuwającym się razem po rzece. Gdy podniósł oczy, byłoto znakiem, że audjencya skończona.

— Dobrze mój Malluchu, — rzekł posil się teraz i bądź gotów do drogi. Musisz powrócić do Gaju Palmowego, żeby być pomocnym młodzieńcowi w krytycznej chwili, co się dlań zbliża. Przyjdź do mnie jutro rano; dam ci list do Ilderima. — Potem dodał ci-

szej, niby do siebie: Może ja sam udam się do cyrku.

Gdy Malluch odszedł, zamieniwszy zwyczajowe błogosławieństwo z Simonidesem, starzec napił się trochę mleka i zdawał się pokrzepiony i lepszej myśli.

— Zabierz tacę, — Estero, —powiedział. — posiliłem się już.

Usłuchała.

— Chodź bliżej.

Usiadła znowu na poręczy ojcowskiego krzesła.

— Bóg jest dobry dla mnie, bardzo dobry, — rzekł z zapałem. — On działa zwykle w tajemnicy, ale niekiedy pozwala nam myśleć, że Go widzimy i rozumiemy. Jestem już stary, moja najdroższa i czas mi zejść ze świata. Ale teraz o tej godzinie, kiedy zaczynałem tracić nadzieję, zesłał mi promyk światła, który mi dodał siły. Widzę nadchodzące wypadki tak wielkiej doniosłości, że będą odrodzeniem dla całego świata. Widzę też z jakiej przyczyny losy pozwoliły mi nagromadzić takie bogactwa i jaki z nich ma być użytek. Doprawdy, drogie dziecię, jestem niby zmartwychpowstały.

Estera przytuliła się do ojca, jak gdyby chciała myśli jego ściągnąć bliżej.

— Król narodził się, — mówił on dalej, — i musi być w połowie lat zwykłego człowieka. Baltazar powiada że był niemowlęciem na rękach u matki, gdy go widział i złożył mu hołd i dary; a Ilderim mówił mi, że upłynęło 27 lat, w grudniu zeszłego roku, od chwili, kiedy Baltazar i jego towarzysze przybyli do jego namiotu, prosząc, by ich ukrył przed Herodem. Pojawienie się króla musi więc niezadługo nastąpić: może dziś, może jutro. O, święci ojcowie Izraela, jakaż to błoga myśl! Zdaje mi się, że słyszę huk padających murów i wrzawę chaosu. Tak, ku najwyższej radości ludzkiej ziemia się rozpada, żeby pochłonąć Rzym. Ludy oddychają głęboko i śpiewają: Rzym zginął a my istniejemy! Roześmiał się do siebie. Słyszałaś co podobnego Estero? Czuję w sobie natchnienie piewcy, gorącą krew Miriama i Dawida. W myślach moich, które powinny zajmować się tylko liczbami i faktami, brzmią cymbały, harfy i głosy tłumów, otaczających nowopowstały tron. Dam pokój tym myślom teraz. Tylko, gdy przybędzie król, będzie potrzebował pieniędzy i ludzi, bo jako dziecię, narodzone z niewiasty, będzie to człowiek, chodzący ludzkiemi drogami, tak samo jak ty i ja. Do pieniędzy będzie potrzebował rachmistrzów i zarządców, a do ludzi — przywódców. Cóż, czy nie widzisz szerokiej drogi, po której ja iść będę, a młody pan — nasz biedz. Czy widzisz w końcu tej drogi — chwałę i zemstę dla nas obydwóch i... i — umilkł uderzony samolubstwem planu, w którymby ona nie miała udziału, albo pomyślnego rezultatu; całując ją dodał — i szczęście dla dziecięcia twej matki.

Ona siedziała milcząca. Przypomniał sobie nareszcie, jak odmienne są ich natury; przypomniał sobie prawo, mocą którego nie wszystkich jedno cieszy i jedno przeraża. Przypomniał sobie, że jego córka jest kobietą.

— O czem myślisz Estero? zapytał swym zwykłym serdecznym głosem. — Jeśli myśl twoja ma kształt jakiego życzenia, to wyjaw mi je, najdroższa. dopóki mam władzę w ręku. Władza bowiem, jak wiesz, jest ruchliwą rzeczą i zawsze, jak ptak, ma skrzydła rozpięte do lotu.

Odpowiedziała z dziecięcą prawie prostotą.

— Poślij po niego, ojcze poślij dziś wieczór i nie dopóść, żeby wystąpił na arenie.

— Ach — wykrzyknął starzec przeciągle i znowu oczy jego padły na rzekę, pokrytą jeszcze głębszemi cieniami, gdyż księżyc posunął się daleko za górę Sylpius, pozostawiając miasto samym tylko bladym gwiazdom. Mamyż ci wyznać, czytelniku, w serce starca wkradła się zazdrość. Czyżby już pokochała swego młodego pana? O nie! To być nie może. Za młoda. Ale myśl ta uczepiła się go. Jednakże... ma już lat szesnaście... Wiedział o tem, wszakże w ostatnią rocznicę jej urodzin zaprowadził ją do nowego okrętu, spuszczonego na wody Orontesu, a żółta flaga, którą statek przybrał na ten obchód zaślubin swoich z falami nosiła imię „Estera“. Spędzili więc razem ów uroczysty dzień. A jednak fakt ten zaskoczył go teraz niby niespodzianie. Są rzeczy, których nie lubimy być świadomi, gdyż sprawiają nam ból; najczęściej bywają to fakta, dotyczące nas samych, n. p. że się starzejemy, lub co jeszcze straszniejsze, iż musimy umrzeć. Taki to ból zrodził się w sercu Simonidesa: byłto ból bezcielesny, niby cień, a jednak dosyć materyalny, żeby wywołać z jego piersi westchnienie, prawie jęk. Niedosyć, że ma zostać, w kwiecie wieku, niewolnicą, miałaby oddać panu swemu te tkliwe, szczere, delikatne uczucia, dobrze znane ojcu, gdyż do tego czasu korzystał z nich bezpodzielnie. Wróg ktorego zadaniem jest dręczyć nas obawą i gorzkiemi myślami, rzadko kiedy działa połowicznie. W tej krytycznej chwili zacny starzec stracił z oczu nowe zadanie i cudownego króla, który był przedmiotem jego planów. Jednakże zdołał zapanować nad sobą i zapytał spokojnie: Dlaczego niemiałby wystąpić na arenie cyrkowej dziecię moje?

— To jest nie właściwe miejsce dla syna Izraela, drogi ojcze.

— Czy tylko z tej przyczyny.

Ton zapytania brzmiał pytająco i ugodził ją w samo serce. Serce to zaczęło bić tak gwałtownie, że nie zdołała odpowiedzieć. Zawładnęło nią nowe a dziwnie miłe pomieszanie.

— Oddam mu fortunę — rzekł tkliwiej, biorąc ją za rękę — oddam okręty i sekele — wszystko, Estero, wszystko. Mimo to, dotąd nie czułem się ubogim, boś ty mi została z miłością, tak podobną do miłości mojej biednej Racheli. Powiedz mi, czy on i to posiędzie?

Pochyliła się nad nim i oparła policzek na jego głowie.

— Odpowiedz, Estero, lepiej być przygotowanym na to, co nas czeka.

Wyprostowała się i odrzekła takim szczerym głosem, jak gdyby była uosobieniem prawdy:

— Pociesz się, ojcze. Ja cię nigdy nie opuszczę; chociaż kocham go, pozostanę na zawsze twoją służebnicą.

Pochyliwszy się złożyła pocałunek na czole starca.

Miły mi jest jego widok; głos jego pociąga mię także, i drżę na myśl, żeby mu grozić mogło niebezpieczeństwo. Tak, ojcze drogi byłabym więcej niż rada, gdybym go mogła jeszcze zobaczyć. Jednak miłość nie-

odwzajemniona nie jest zupełną miłością; dlatego będę czekała jakiś czas, pomnąc, żem twoją i matki mojej córką.

Prawdziwe z ciebie błogosławieństwo Boże, Estero, — błogosławieństwo które mię uczyni bogaczem. chociażbym wszystko postradał. Na święte imię Pana przysięgam, że nie dopuszczę, byś miała cierpieć.

Po niejakiej chwili przyszedł sługa na jego żądanie i wtoczył go na fotelu do komnaty, gdzie siedział jakiś czas, dumając o spodziewanym królu. Estera poszła do siebie i pogrążyła się w śnie niewinności.

Rozdział XVIII.

Pałac po drugiej stronie rzeki, naprzeciw domu Simonidesa, uchodzący na dzieło słynnego Epifanesa, wyglądał odpowiednio do swego przeznaczenia. Budowniczy jego, mający raczej pociąg do kształtów kolosalnych aniżeli do klasycznych, był tak zwanym dziś plagjatorem architektonicznym. Innemi słowy był to pałac w stylu perskim nie greckim.

Mur opasujący całą wyspę, aż do brzegu wody i postawiony w podwójnym celu; jako bulwark zabezpieczający od rzeki i obrona od napaści tłumu, miał uczynić gmach ten nieodpowiednim do stałego zamieszkania, — tak dalece, iż posłowie przenieśli się do innej rezydencyi, zbudowanej dla nich na zachodnim stoku góry Sulpius, poniżej świątyni Jowisza. Złośliwi utrzymywali jednak, że rzeczywistą przyczyną przenosin posłów było bezpieczeństwo, zapewnione ogromnemi barakami zwanemi podówczas cytadelą, która wznosiła się nad samą drogą, na zachodnim zboczu góry. Podejrzenie ich stwierdzał ten fakt, że budowla ta była ciągle na pogotowiu i gdy jaki konsul, generał, król, albo dostojny gość przybywał do Antjochji, zawsze oddawano mu ją na zamieszkanie.

Ponieważ nas interesuje tylko jeden apartament w starem skrzydle, resztę czytelnik dopełni sobie własną wyobraźnią i jeśli zechce, chce może zwiedzić ogrody, łaźnie, halle, labirynt komnat i altany na dachu, a wszystko urządzone z przepychem.

Obecnie, komnata, którą chcemy tu opisać, nazywałaby się salonem. Była ona bardzo obszerna, z posadzką z polerowanych tafelek marmurowych, oświetlona za dnia przez otwory w pułapie, w których osadzona różnobarwna mika służyła za szyby. Przy ścianach były poustawiane Atlantydy, każda odmienna, — a wszystkie potrzymywały sufit, zdobny w zawiłe arabeski błękitne, zielone, purpurowe i złote. Dokoła komnaty stały rzędem sofy, pokryte jedwabną materyą indyjską, albo kaszmirem. Stoły i krzesła, dziwnie rzeźbione, były w stylu egipskim.

Zostawiliśmy Simonidesa układającego w swem krześle plany co do cudownego króla, o którym powiedział sobie, że niezadługo przybędzie. Estera usnęła. My zaś — przebywszy most na rzece, dostaniemy się do onej złoconej sali, bramą strzeżoną przez lwy i mnóstwem babilońskich hall oraz dziedzińców.

Pięć świeczników zwieszało się tam u pułapu na bronzowych łańcuchach: cztery w rogach a jeden w środku — złożony z ogromnych piramid zapalonych lamp, które oświetlały nawet szatańskie oblicza Atlantów i powikłane rysunki na suficie. Dokoła stołów siedziało, stało, lub chodziło gorączkowo, około stu osób, którym wypada nam się przyjrzeć.

Grono to składało się z młodzieńców; niektórzy tylko co wyszli z chłopięcych lat. Że są to włosi, a przeważnie rzymianie, o tem wątpić nie można. Wszyscy mówią czystą łaciną i mają na sobie ubiór domowy, używany w wielkiej stolicy nadtybryjskiej. Były to krótkie tuniki bez rękawów, bardzo odpowiednie do klimatu antjochińskiego, a w szczególności dogodne w atmosferze zamkniętego salonu. Na sofach tu i owdzie były rzucone niedbale togi i lacerny, niektóre obszyte purpurą, co miało pewne znaczenie. Na podłodze leżały pantofle. Czy młodzieńców tych znużył upał dzienny, czy też nieład on sprawił Bachus, nie będziemy w to wchodzili.

W komnacie było głośno, od czasu do czasu rozlegał się wybuch śmiechu, niekiedy znów objaw oburzenia lub nadziei, — ale nad wszystkiem górował jakiś niezrozumiały grzechot. Gdy się jednak zbliżymy do stołów, zagadka będzie rozwiązana. Grono młodzieży siedzi przy ulubionej grze w kości, pojedynczo lub razem.

— Kto są zgromadzeni tu ludzie?

— Zacny Flawjuszu, — rzekł jeden z grających, trzymając kość w podniesionej ręce, — widzisz tę lacernę? Tę oto, naprzeciwko nas, na sofie: zupełnie nowa, prosto z igły, ma złotą sprzączkę. szeroką jak moja dłoń.

— Widziałem takich nie mało,— odpowiedział tamten, nie przerywając gry. Twoja także musi być niestara, ale też nie jest nowa. O cóż ci chodzi?

— O nic. Tylko oddałbym ją temu, coby znalazł człowieka, który wie wszystko.

— Ha! ha! za coś tańszego znajdę ci tu odzianych w purpurę, co staną na twe wezwanie. Ale grajże.

— Patrz wygrałem.

— Prawda — na Jowisza! Chcesz zagrać jeszcze raz?

Dobrze.

— Jaka stawka?

— Sesters.

Obaj zapisali sobie cyfrę na woskowych tabliczkach.

Flawjusz, wstrząsając kośćmi w kubku rzekł:

— Chciałbym poznać człowieka, który wie wszystko? Na Herkulesa! wyrocznie nie miałyby co robić, gdyby tacy ludzie istnieli. Na co ci potrzebne podobne dziwo?

— Musiałby mi odpowiedzieć na me pewne pytanie a potem uciąłbym mu głowę.

— Jakieżto pytanie?

— Potrzebuję wiedzieć o której godzinie a nawet minucie Maxentius przybędzie jutro.

— Rozumie cię! Ale dlaczego ci chodzi o minutę?

Czyś ty stał kiedy z odkrytą głową pod syryjskiem słońcem na wybrzeżu, gdzie on wyląduje? Ognie Westy są mniej palące. Kiedy mam umrzeć, chciałbym umrzeć w Rzymie! Ale na bogów, złapałeś mię, Flawjuszu, przegrałem: o Fortuno!

— Znowu?

— Muszę odegrać swego sestersa.

— Dobrze.

— Młodzieńcy nasi wciąż grali: gdy świt, wkradający się przez okienka począł przyćmiewać lampy, zastał ich jeszcze grających w tem samem miejscu, przy tym samym stole. Jak większa część zgromadzonych, byliło wojskowi ze świty konsula, którzy grą skracali sobie oczekiwanie jego przybycia.

— Podczas powyższej rozmowy weszło nowe grono do komnaty i, zrazu niedostrzeżone, podążyło do środka stołu. Widocznie goście ci przybyli prosto z hulanki; niektórzy chwiali się na nogach. Jeden z nich miał wieniec na głowie, co oznaczało, że wydawał biesiadę lub przynajmniej przewodniczył tejże. Na nim wino zostawiło tylko ten ślad, że podniosło jego typowo rzymską piękność. Nosił on głowę bardzo wysoko, usta i lica miał purpurowe, oczy błyszczące. W teatralnej pozie zmierzał niby jaki cezar do stołu, sobie i towarzyszom torując lekceważąco drogę, pośród tłumu. Gdy nakoniec zatrzymał się i objął okiem całe zgromadzenie, wszyscy gracze zwrócili się ku niemu i powitali go głośnym okrzykiem.

— Messala! Messala!

Ci co siedzieli daleko, usłyszawszy te krzyki, wtórowali im na swoich miejscach. W jednej chwili rozprószyły się gromadki, porzucano grę i wszyscy cisnęli się ku środkowi komnaty.

— Messala obojętnie i dumnie przyjmował oznaki ogólnego uznania.

— Bądź pozdrowion, Druzusie, przyjacielu mój, — odezwał się do najbliżej grającego, po prawej jego stronie, — ustąp mi na chwilę swoich tabliczek.

Podniósł woskowe tabliczki, spojrzał na zanotowane zakłady, poczem mu je cisnął.

— Denary, same tylko denary! Moneta taczkarzy i rzeźników, — rzekł śmiejąc się wzgardliwie. — Na pijaną Semelę, dokąd to doszedł Rzym, kiedy nawet cezar całemi nocami czuwa i czeka, czy mu Fortuna nie rzuci żebraczego denara na podatek.

Druzus zarumienił się po uszy, ale obecni nie dopuścili, by odpowiedział, skupiwszy się dokoła stołu, zaczęli oni krzyczeć:

— Messala! Messala!

— Ludzie z nad Tybru, — mówił dalej Messala, odbierając jednemu z graczy kubek z kościami: Kto jest ulubieńcem bogów? rzymianin. Kto prawodawca ludów? rzymianin. Kto prawem miecza jest panem świata?

— Rzymianin! rzymianin! — zawołali wszyscy z zapałem.

Jednakże, jednakże... — umilkł, żeby przykuć do siebie ich uwagę, — jednakże jest ktoś lepszy od najlepszego z rzymian!

Zamilkł i potrząsnął dumnie patrycjuszowską głową, jak gdyby chciał ich rozjątrzyć tym zarzutem.

— Herkules — zawołał ktoś.

— Bachus! — wrzasnął inny złośliwie.

— Jowisz! — Jowisz! huknął tłum.

— Nie — odpowiedział Messala szukajcie pomiędzy ludźmi.

— Nazwij go! — wymień go! — krzyczano zewsząd.

— Ten kto doskonałość Rzymu połączył z doskonałością wschodu, wygłosił Messala, gdy nastała cisza, ten kto do zwycięskiego zachodu wnosi wschodnią sztukę korzystania z planów zwycięstwa.

— Perpol! Bądźcobądź ten najlepszy jest rzymianinem, zawołał ktoś.

Słowa Massali przyjęto śmiechem i przeciągłemi oklaskami.

My na wschodzie, — ciągnął — nie mamy innych bogów prócz wina, kobiet i fortuny, a główne miejsce zajmuje Fortuna. Ztąd hasła nasze: Kto się odważy na to na co ja się odważam? Hasło to dobre w senacie, dobre w bitwie, ale najlepsze dla tych, co szukając lepszego, nie cofają się przed najgorszem, — rzekł lekkim tonem.

— Tam na górze, w twierdzy, mam w skrzynce 5 talentów w monecie bieżącej. Oto pokwitowanie.

Wyjął z zanadrza tuniki zwój papierów i rzuciwszy go na stół, mówił dalej wśród ogólnej ciszy. Wszystkie oczy były ku niemu zwrócone; wszyscy słuchali go z natężoną uwagą.

Suma ta jest miarą mojej odwagi. Który z was miałby tyle śmiałości. I na to nie zgadzacie się? Za wielka suma? Dobrze, ujmę jeden talent. Cóż to jeszcze milczycie? No to może zagramy o trzy talenty, tylko o trzy o dwa, o jeden? Przynajmniej o jeden? dla uczczenia tej rzeki, nad którą otrzymaliście życie. Rzym wschodni przeciw Rzymowi zachodniemu! Barbarzyński Orontes przeciw świętemu Tybrowi.

Mówiąc te słowa, potrząsał kubek z kośćmi.

— Orontes przeciw Tybrowi! powtórzył z większą jeszcze wzgardą w głosie.

Nikt się nie ruszył, rzucił on wtedy skrzynkę na stół i ze śmiechem wziął pokwitowanie.

— Ha! ha! ha! Na Jowisza olimpińskiego! Teraz wiem, dlaczegoście przybyli do Antjochji i chcecie zrobić fortunę, albo przynajmniej poprawić stan waszych interesów. Hej, Cecyljuszu!

— Jestem Messala! odezwał się ktoś poza nim, Oto jestem!

— Pójdź do komnaty, w której biesiadowaliśmy i każ służalcom przynieść amfory z winem, czary i kubki. Ci ziomkowie nasi, co się ubiegają o fortunę, nie mają sakw, chcę się przekonać, na Bachusa Syryjskiego, czy nie są lepiej uposażeni w żołądki. Spiesz!

Zwrócił się do Druzusa i wybuchł tak głośnym śmiechem, że się rozlegał po całej sali.

— Ha ha! drogi przyjacielu, daruj, żem w twojej osobie poniżył Cezara do denarów. Widzisz, jam tylko chciał wziąć na próbę te piękne ptaszki z naszego starego Rzymu. Chodź, mój Druzusie, chodź! Wziął napowrót skrzynkę i wesoło potrząsał kośćmi.

No, spróbójmy szczęścia. Jaką będzie stawka.

Druzus nie mógł się oprzeć kuszącemu wezwaniu.

— Na nimfy, gotów jestem! rzekł ze śmiechem. Zagrajmy o denara.

Jakiś młody chłopiec przyglądał się przez stół tej scenie.

Messala zwrócił się nagle ku niemu, pytając:

— Coś ty za jeden?

Młodzian cofnął się.

— Na Kastora i jego brata! nie chciałem cię obrazić. Jest w zwyczaju pomiędzy ludźmi tem ściślej prowadzić

rachunki, im sprawa jest mniejszej wagi. Potrzebuję sekretarza; czy chcesz objąć ten obowiązek?

— Czekaj, Messalo, czekaj! — zawołał Druzus. — Nie wiem, czy to nie będzie czasem złym omenem, gdy przerwę grę rozmową, ale muszę ci zadać jedno pytanie, choćbym się miał przez to narazić Fortunie. Powiedz mi, czyś widział kiedy niejakiego Arrjusza Kwintusa?

— Duumwira?

— Nie, jego syna.

— Nie wiedziałem, że miał syna.

— To nic nie znaczy — dodał Druzus obojętnie, tylko, mój drogi Messalo, Polluks nie mógł być podobniejszym do Kastora, aniżeli Arrjusz do ciebie.

Uwaga ta była niby hasłem: 20 głosów zawołało:

— Prawda, prawda! To jego oczy jego twarz!

— Co znowu — odezwał się ktoś niechętnie. Messala jest Rzymianinem, Arrjusz żydem.

— Dobrze mówisz, — krzyknął trzeci, — to żyd, znać po nim...

Zanosiło się na starcie.

Żeby mu zapobiedz, Messala rzekł: Wina jeszcze nie podano, mój drogi Druzusie, możemy więc pogawędzić...

Powiedz mi co więcej o tym Arrjuszu...

— Czy to żyd, czy rzymianin, na wielkiego Boga Pana, nie może ci to podobieństwo z nim ubliżać, mój drogi Messalo, bo jest on piękny, odważny i rozumny. Cezar chciał go wziąć w opiekę i obsypać łaskami, ale wszystko odrzucił. Otacza się tajemnicą i tak się zachowuje, jak gdyby się miał za lepszego lub gorszego od nas wszystkich. W szkołach szermierki nikt mu nie wyrównał. Modrookich olbrzymów z nad Renu i bezrogich byków z Sarmacyi giął niby wiotką trzcinę. Duumwir zostawił mu ogromny majątek. Wojna jest celem jego marzeń. Maxencjusz przyjął go do swych zastępów i miał on nawet wsiąść z nami na okręt, ale w Rawennie zginął nam z oczu: przybył tu jednak zdrów i cały. Doszła nas o nim wiadomość dziś rano. Perpol, zamiast się udać do pałacu albo do twierdzy, zostawił swe pakunki w Khanie i znowu znikł.

Z początku Messala słuchał z grzeczną obojętnością, lecz stopniowo rozciekawiał się i w końcu, odjąwszy rękę od skrzyni z kościami, wykrzyknął:

— Słyszysz, Kajusie?

Młodzieniec stojący obok, jego Myrtylius czyli towarzysz ćwiczeń arenowych, uradowany, że raczył doń przemówić, odpowiedział:

— Nie byłbym twoim przyjacielem, Messalo kochany, gdybym nie słyszał.

— Pamiętasz naturalnie tego młodzieńca, który cię wyrzucił dziś z rydwanu..

— Na Bachusa! alboż mi go nie przypominają potłuczone kości.

— Bądźże wdzięczny losom bo odnalazłem twego wroga. Słuchaj...

Tu Messala zwrócił się do Druzusa.

— Powiedz nam co więcej o nim Perpol, o nim, który jest zarazem żydem i rzymianinem. Na Feba, jest to zestawienie, które uczyniłoby pięknym nawet centaura. Jaki on ubiór nosi, mój Druzusie?

— Żydowski.

— Słyszysz, Kajusie? rzekł Messala. Jestto człowiek młody, to jedno; ma rysy rzymianina, to dwa, najlepiej lubi się nosić po żydowsku, to trzy; słynie na arenach: potrafi powalić konia lub, w razie potrzeby, wywracać rydwany to, cztery. Druzusie, pomóż teraz memu przyjacielowi. Niezawodnie ten Arrjusz mówi kilkoma językami, bo inaczej nie byłby dziś żydem jutro rzymianinem. Czy dobrze mówi bogatym językiem ateńczyków?

— Tak czysto mój Messalo, że mógłby w Istmji grać tragedye greckie.

— Słyszysz, Kajusie? On umie pozdrawiać damę po grecku; według mego rachunku, będzie to, po piąte. Cóż ty na to?

— Jeśli go nie znalazł, to chyba nie jestem tobą, mój Messalo, — odrzekł Kajusz.

— Przepraszam ciebie, Druzusie i was wszystkich, za tak zagadkową mowę, powiedział Messala ze zwykłym wdziękiem, zwracając się do obecnych, ale i ty wspomniałeś coś o tajemnicach tyczących pochodzenia tego syna Arrjusza. Opowiedzże co wiesz!

— Nic ważnego, ale jeśli chcesz wiedzieć, to słuchaj: Podobno gdy Arrjusz, ojciec, puścił się na morze, w pogoni za piratami, nie miał ani żony ani dzieci; wrócił zaś z chłopcem z tym, o którym mówimy i nazajutrz adoptował go.

— Adoptował? powtórzył Messala. Na bogów, mój Druzusie, zaciekawiasz mię. Gdzież duumwir znalazł tego młodzieńca? I kto on był?

— Któżby ci mógł na to odpowiedzieć prócz samego Arrjusza? Perpol! Duumwir, który był podówczas tylko trybunem, stracił swą galerę. Powracający statek znalazł jego i drugiego jeszcze, jedynych rozbitków, walczących na desce z falami. Opowiadają ludzie, że towarzyszem duumwira na desce był żyd.

— Żyd — powtórzył Messala.

— Jakto, Druzusie? Niewolnik?

Gdy ich obu wciągnięto na pokład, duumwir miał na sobie zbroję trybuna, a tamten siermięgę galernika.

Messala zerwał się od stołu.

— Galernik, — powtórzył wzgardliwie i rozejrzał się dokoła, poraz pierwszy w życiu straciwszy przytomność umysłu. Właśnie w tej chwili grono niewolników napełniło pokój, jedni nieśli wielkie czary wina, drudzy koszyki z owocami i konfiturami, inni kieliehy i flasze, po większej części srebrne. Byłto widok ożywiający. Messala w mgnieniu oka wskoczył na krzesło.

— Ludzie z nad Tybru, rzekł donośnym głosem, skróćmy sobie czekanie na naszego wodza ucztą na cześć Bachusa. Kogo wybieracie na Amfitrjona?

Druzus podniósł się.

— Któżby miał przewodniczyć bankietowi, jeśli nie ten co go wyprawia? rzekł. Odezwijcie się rzymianie!

Całe grono odpowiedziało jednym krzykiem.

Messala zdjął wieniec z głowy, oddał go Druzusowi, który wskoczył także na stół i wobec wszystkich uroczyście włożył go na skronie Messali, ustanawiając go przewodniczącym na całą noc.

— Przyszło tu ze mną kilku przyjaciół, którzy wstali tylko co od stołu, rzekł tenże, aby nasza biesiada, została uświęcona starym zwyczajem.

to przyjdzie ten z pomiędzy nich, kogo wino najbardziej zmogło.

— Oto jest! oto jest! krzyknęło kilku, podnosząc z ziemi młodzieńca tak zniewieściale pięknego, że mógł uchodzić za samego bożka pijaństwa, tylko że wieniec zsunąłby mu się z czoła a tyrsu nie utrzymałby w rękach.

— Posadźcie go na stole, rozkazał Amfitrjon.

Okazało się, że nie może siedzieć.

— Podtrzymaj go, Druzusie!

Druzus objął pijanego rękami.

Wtedy Messala, zwracając się do bezprzytomnego indywiduum, rzekł wśród głębokiej ciszy:

— O Bachusie! największy z bogów, sprzyjaj nam tej nocy. We własnem i towarzyszy moich mieniu obiecuję złożyć wieniec na ołtarzu w Gaju Dafny.

Zdjął wieniec z głowy i podniósł go w górę.

Pochyliwszy głowę, włożył znowu na nią wieniec, podrzucił kości i rzekł ze śmiechem:

— Widzisz, Druzusie, na osła Sylena, twój denar do mnie należy!

Taki śmiech rozległ się w tej chwili, że aż podłoga drżała i Atlanty wzruszyły się na posadach.

Zaczęto orgją.

Rozdział XIX.

Szeik Ilderim, jako mąż wielkiego znaczenia, musiał występować z okazałością. Wypadało mu godnie reprezentować pokolenie, którego był naczelnikiem, księciem i patryarchą, pokolenie najliczniejsze na pustyni w Syrji wschodniej. U ludności grodów miał on inną sławę: w miastach uchodził za najbogatszego z ludzi na całym wschodzie, nie wyłączając i królów. Ponieważ był rzeczywiście bogatym, w pieniądze zarówno jak w niewolników, wielbłądy, konie i trzody wszelkiego rodzaju, lubił występować z przepychem, nietylko bowiem podnosiło to jego potęgę w oczach obcych przybyszów, ale zarazem dumie jego pochlebiało i zapewniało mu wygody. Z tego powodu, podczas pobytu w Gaju Palmowym, otaczał się wielkim blaskiem. Miał on tam zupełny dowar, t. j. 3 duże namioty: jeden dla siebie, drugi dla gości, trzeci dla najukochańszej ze swych żon i jej orszaku, a sześć czy osiem mniejszych dla niewolników i niektórych członków pokolenia, co mieli mu służyć za straż przyboczną, ludzi wypróbowanej odwagi, umiejących władać zarówno łukiem, jak i końmi.

Posiadłości jego z pewnością nie groziło żadne niebezpieczeństwo w Gaju Dafny, ale ponieważ nałogi człowieka towarzyszą mu w mieście tak samo jak na wsi i ponieważ rozum nakazuje nie rozluźniać nigdy porządku, wnętrze jego dowaru oddane było krowom, wielbłądom, kozom i wogóle temu wszystkiemu, co mogło kusić lwa albo złodzieja.

Należy oddać Ilderimowi tę sprawiedliwość, że szanował wszystkie tradycye zwyczaje swego narodu, nie pomijając najbłahszego. Wskutek tego życie jego w Gaju było dalszym ciągiem życia na pustyni, odbiciem starych patryjarchalnych zwyczajów pasterskiego życia pierwotnego Izraela.

Owego ranka, kiedy karawana przybyła do Gaju, Ilderim, zatrzymawszy konia, wetknął w ziemię strzałę i rzekł: Tu go postawcie... drzwiami ku południowi; przed nami będzie jezioro, w którem będziemy się przyglądali zachodzącemu słońcu, siedząc pod temi dziećmi pustyni.

Mówiąc te słowa, zbliżył się do grupy 3-ch dużych palm, i pieścił jedną z nich niby konia ulubionego, albo dziecię swej miłości.

Któżby, prócz szeika, miał prawo powiedzieć karawanie; zatrzymaj się! i rozkazać, — tu namiot ma być rozbity! Strzałę wyciągnął z ziemi, w pozostały po niej otwór włożył pierwszy słup namiotu; potem dokoła słupa osadzono 8 innych, w odstępach, 3-ma szeregami. Wtedy przywołano niewiasty i dzieci, które wyjęły płótno z juk. Któż mógł to zrobić, jeśli nie kobiety? Alboż nie one strzygły brunatne kozy. Czy nie one przędły tę wełnę, a z wełny sukno tkały? Alboż nie one to sukno zeszywały, tak, że tworzy gruby dach, ciemno-brunatny w rzeczywistości, chociaż z daleka czarny, jak namioty Kedar. Cóż tam było śmiechu, co żartów, co figlów, gdy cała ta gromadka za wskazówkami Szeika, rozpinała płótno na słupach i przywiązywała je sznurami. Gdy w końcu ta budowla w stylu pustyniowym była gotowa, jakże lękliwie czekały wyroku swego dobrotliwego pana! Jakże się cieszyły, kiedy on obejrzawszy namiot wewnątrz i zewnątrz, rozpatrzywszy się w jego położeniu względnie do drzew, słońca i wody, zatarł ręce z zadowoleniem i rzekł:

Udała wam się robota! Teraz urządźcie „dowar" o ile się da najlepiej; wieczorem będziemy słodzili chleb arakiem a mleko miodem i na każdem ognisku piec się będzie koźlę. Bóg z wami. Wody słodkiej nie zabraknie, bo źródło będzie studnią naszą, zwierzęta juczne nie zaznają też głodu, nawet i najmniejsze z naszych trzód, bo mamy tu pastwiska. Bóg z wami wszystkimi, dzieci moje! Odejdźcie.

Wśród wesołych okrzyków rozpierzchła się gromadka, żeby przygotować dla siebie także mieszkania. Kilka tylko osób zostało, aby urządzić wnętrze namiotu szeika: mężczyźni rozwiesili firankę na środkowym szeregu słupów, dzieląc namiot na 2 części jedną dla samego Ilderima, drugą dla jego koni, które sprowadzili, — poczem obsypawszy pieszczotami, puścili na wolność. Na środkowym słupie rozwiesili zbroje, strzały, łuki, cięciwy, tarcze; powyżej zaś miecz samego Ilderima, miecz w kształcie księżyca na nowiu, z ostrzem z błyszczącej stali i rękojeścią klejnotami ozdobioną. Na innym słupie wisiały uprzęże koni, niektóre tak bogate jak liberja jakiegoś sługi królewskiego, naprzeciwko zaś rozwieszoną była odzież wielkiego męża: szaty wełniane i lniane, tuniki, szarawary i różnobarwne chustki na głowę. Ta gromadka wiernych sług poty się krzątała, dopóki pan nie pochwalił jej dzieła.

Kobiety zajęły się tymczasem urządzeniem szafy, bez której szeikowi byłoby się trudniej obejść, aniżeli bez białej brody, co mu, jak u Arona, na piersi spływała. Ustawiły pod ścianami obok drzwi ramy drewniane w kształcie trójkąta, i położyły na nich poduszki, przykryte kapą z sukna błękitno-czerwonego. Dokoła tej sofy ro-

zesłały kobierzec, który zajął cały namiot. Wtedy robota ich była skończona i czekały tylko co pan powie. Pozostało im jeszcze napełnić dzbany wodą i pozawieszać skórzane butelki z arakiem. Któremuż arabowi nie wydawałby się Ilderim szczęśliwy w tym namiocie nad jeziorem słodkich wód, pod drzewami Gaju Palmowego?

Przed tą — to siedzibą szeika zostawiliśmy Ben-Hura.

Niewolnicy czekali tam już rozkazów szeika. Jeden zdjął z nóg jego sandały, drugi rozsznurował Ben-Hurowi rzymskie kontury; poczem zrzuciwszy z nich zwierzchnią zapyloną odzież, podali świeże szaty z białego płótna.

— Wejdź, w imię Boże, wejdź i spocznij — rzekł serdecznie gospodarz namiotu w ludowym djalekcie hebrajskim i poprowadził gościa ku sofie.

Ja tu siędę, rzekł wskazując na miejsce, a ty gościu tam.

Niewiasta, którąby dziś nazwano pokojówką, zręcznie ułożyła poduszki i wezgłowia. Przyniesiono świeżej wody z jeziora, obmyto im nogi i obtarto je ręcznikami.

Ilderim, gładząc sobie brodę i rozczesując ją cienkiemi palcami, odezwał się: Mamy tu na pustyni takie przysłowie, że dobry apetyt jest wróżbą długiego życia. Jakże ty stoisz ze swoim apetytem?

— Czcigodny szeiku, powinienem żyć jakie sto lat, bom głodny jak wilk odpowiedział Ben-Hur.

— Bądź spokojny, nie wyjdziesz stąd głodny jak wilk. Dam ci, co tylko jest najlepszego w mej trzodzie.

Ilderim klasnął w ręce.

— Idź do gościnnego namiotu i powiedz dostojnemu cudzoziemcowi, który go zamieszkuje, że ja Ilderim, przesyłam mu życzenie, by spokój jego był tak przerwany, jak nieprzerwanie płyną wody.

Niewolnik skłonił się nisko.

— Powiedz mu także, mówił dalej szeik, że mam gościa, z którym się przełamuję chlebem; jeśli Baltazar zechce także przyjść, to wystarczy dla 3-ch i jeszcze nie mało zostanie dla ptasząt.

Niewolnik odszedł.

— Wypocznijmy teraz.

Ilderim siadł na poduszce, z nogami podwiniętymi, jak dodziśdnia siadają kupcy na bazarach w Damaszku, a gdy wypoczął, przestając sobie rozczesywać brodę, rzekł z powagą: Chociaż jesteś gościem moim, chociaż piłeś wino moje i skosztujesz mej soli, zapytam cię jednak: Kto jesteś.

Ben-Hur, wytrzymując spokojnie jego spojrzenie, odpowiedział: Proszę cię, szeiku Ilderimie, nie myśl, że lekceważę twe słuszne żądanie, ale czy nie było takiej chwili w twem życiu, w której odpowiedź na podobne pytanie byłaby zbrodnią względem ciebie samego.

— Na chwałę Salamona, tak, odrzekł Ilderim. Zdradzić siebie bywa niekiedy taką podłością, jak zdradzić całe pokolenie.

— Dzięki ci, dzięki, dobry szeiku — zawołał Ben-Hur. — Dałeś mi mądrą odpowiedź; zapewnię cię więc tylko, że nie zawiodę nigdy twego zaufania; a zapewnienie to więcej powinno ważyć dla ciebie, aniżeli sprawy mego życia.

Teraz z kolei szeik głowę spuścił a Ben-Hur ciągnął dalej: Jeśliś łaskaw mię wysłuchać, to ci powiem najpierw że nie jestem rzymianinem, jak mogłeś sądzić z nazwiska, które ci za moje podano.

Ilderim schwycił za brodę, spływającą mu na piersi i z pod ściągniętych brwi spojrzał bystro na mówiącego.

— Jeszcze i to powinieneś wiedzieć, ciągnął dalej Ben-Hur, żem ja izraelita z pokolenia Judy.

Szeik podniósł nieco brwi w górę.

— Nadto wiedz, szeiku, że jestem żydem, mającym w sercu taką urazę do Rzymu, iż twoja niechęć przy niej jest bardzo błahem uczuciem.

Starzec z nerwową szybkością przesunął palce po brodzie i tak nizko spuścił brwi, że zakryły całkiem gałki oczu.

— Przysięgam ci nareszcie, szeiku Ilderimie, przysięgam na Zakon Pana, dany ojcom moim na górze Synai, iż jeśli mi dopomożesz zemścić się, to zysk i sława, jakich się spodziewam na arenie, tobie przypadną w udziale.

Ilderim rozsunął brwi i podniósł głowę; twarz zaczęła mu się rozjaśniać i można z niej było niemal czytać wzrastające zadowolenie.

— Dosyć tego! rzekł. Że nie jesteś Rzymianinem, że jako żyd, masz urazę do Rzymu, że się chcesz nad nim pomścić, wierzę temu: ale czy będziesz umiał się zemścić? Czy potrafisz zręcznie kierować rydwanem? Czy zawładniesz nad temi końmi, żeby cię znały żeby przyszły na twe zawołanie, żeby pędziły, na twój rozkaz, aż do ostatniego tchnienia, do śmiertelnego wysiłku. Znałem króla, który rządził milionami ludzi i panował nad nimi nieograniczenie, a jednak konia niezdołał okiełznać. Rozumie się nie mówię tu o znikczemniałych bydlętach, niejako stworzonych na to, żeby być niewolnikami niewolników, o skarlałych krwią i postacią, obumarłych duchem, lecz o tych, co, jak te moje, są królami w swym rodzaju, co pochodzą z prostej linji od rumaków pierwszych-faraonów. Ja mówię o tych moich towarzyszach i przyjaciołach .które mieszkają ze mną w namiocie, które w skutek długiego ze mną obcowania, nauczyły się mię rozumieć; które obok swego instyktu mają nasz rozum, a obok swoich zmysłów, nasze dusze, tak, że dzielą z nami ambicją, miłość, nienawiść i wzgardę: ja mówię o tych szlachetnych stworzeniach, które na wojnie są bohaterami, a w czasie pokoju wiernemi jak niewiasta. Hej! Jest tam kto?

Nadbiegł niewolnik.

— Sprowadź tu moje arabczyki.

Sługa usunął zasłonę, przedzielającą namiot i ukazała się gromadka koni, które chwilę jeszcze stały w miejscu, jak gdyby się chciały upewnić, czy są wezwane.

— Chodźcie tu! rzekł do nich Ilderim. Dlaczego stoicie? Alboż mam co takiego, czembym się nie dzielił z wami? Chodźcie tu, powiadam.

Arabczyki weszły zwolna.

— Synu Izraela, rzekł starzec, twój Mojżesz był potężnym człowiekiem, ale ha, ha, ha! muszę się śmiać, gdy pomyślę, że pozwalał twym ojcom używać ociężałego wołu i powolnego upartego osła, a zakazywał mieć konia. Ha, ha, ha! Czy myślisz, że byłby to uczynił, gdyby był widział tego, i tego oto i tamtego. Mówiąc te słowa, położył rękę na głowie najbliższego ze swych rumaków i głaskał go z dumą i tkliwością.

— To niesłuszny sąd, szeiku, niesłuszny — powiedział Ben-Hur z uniesieniem. — Mojżesz był wojownikiem zarówno jak i prawodawcą, ukochanym przez Boga. A na wojnę ciągnąć, nie znaczyż — to kochać te zwierzęta, co dzielą z nami trudy i tryumfy bojowe?

Kształtna główka z dużemi oczami o spojrzeniu słodkim jak u sarenki, grzywą zasłonięta do połowy, z małemi śpiczastemi, pochylonemi naprzód uszami, zbliżyła się tuż do piersi Ben-Hura pytając niejako: Ktoś ty? Poznał młodzieniec jednego z owych 4-ch rumaków, które widział na wyścigach i wyciągnął rękę do cudnego zwierzęcia.

— Ci bluźniercy, oby im ubywało dni, oby ich dni stały się krótszemi;— rzekł szeik z takiem oburzeniem, jak gdyby mu szło o obelgę osobistą, — ci bluźniercy powiedzą ci, że nasze konie najlepszej krwi pochodzą z nizejskich pastwisk perskich. Bóg dał pierwszemu arabowi bezgraniczną przestrzeń piasku, trochę nagich gór, gdzieniegdzie źródło gorzkiej wody i rzekł doń: Oto twój kraj. A gdy biedak ten narzekał, Wszechmocny Pan ulitował się nad nim i powiedział znowu: Pociesz się, bo cię obdarzę dwa razy więcej, aniżeli innych ludzi. Arab usłyszał, złożył dzięki i z wiarą poszedł szukać obiecanego błogosławieństwa. obeszedł najpierw granice i nie znalazł nic; potem zrobił ścieżkę w pustyni, szedł, szedł coraz głębiej i w samem jej sercu natrafił na bardzo piękną wyspę zieloną, a w sercu tej wyspy znalazł stado wielbłądów i stado koni! Zabrał je z radością i pielęgnował jako najlepsze dary Boże. Z tejto wyspy zielonej pochodzą wszystkie konie na całej ziemi. Przeszły one na pastwiska nizejskie, a w północnej stronie dostały się aż do posępnych dolin, chłostanych bez ustanku zimnemi wichrami, co wieją z mórz.

Nie powątpiewaj o prawdziwości tej historyi... jeśli nie jest prawdziwą, to niechaj amulet arabski utraci swą siłę dla araba. Zaraz poprę słowa moje dowodem.

Klasnął w ręce.

— Przynieś mi rodowód moich koni — rzekł do niewolnika, który stawił się na wezwanie.

Oczekując jego powrotu, szeik pieścił swe konie i głaskał ich zgrabne główki, rozczesywał grzywy palcami i każdemu z osobna dał powód swej słabości ku nim.

Po chwili weszło 6-ludzi z ce... wemi skrzynkami o okuciach mo... żnych.

Gdy je postawiono przed sofą, Ilderim rzekł: Nie chciałem wszystkich, tylko tę jedną, z rodowodem koni. — Otwórzcie ją, a inne zabierzcie stąd.

Otworzono skrzynkę, w której znajdowało się mnóstwo tabliczek z kości słoniowej, nawleczonych na srebrne kółka. Ponieważ były to cieniuchne tabliczki, na każdem z kołek mieściło się ich kilkaset.

— Wiem — rzekł Ilderim biorąc kilka kółek do ręki — wiem, mój synu jak starannie i gorliwie doktorowie w świątyni jerozolimskiej zapisują imiona nowonarodzonych żeby każdy syn Izraela mógł wywieść szereg swych przodków, chociażby nawet sięgał do samych patryarchów. Moi ojcowie, oby ich pamięć nigdy nie zaginęła! nie mieli sobie za grzech przystosowac tę ideę do swych niemych stworzeń. Przyjrzyj się tym tabliczkom!

Ben-Hur wziął obręczki do ręki i zobaczył na tabliczkach hieroglify arabskie, wypalone na gładkiej powierzchni ostrym końcem rozpalonego metalu.

— Czy możesz przeczytać te znaki, o synu Izraela.

— Nie. Musisz mię objaśnić, co one wyrażają.

— Trzeba ci wiedzieć, że każda z tych tabliczek nosi na sobie imię źrebięcia czystej krwi, które należało do moich przodków w czasie ubiegłych wieków, a także imiona rodziców tego zwierzęcia. Przejrzyj te daty, żebyś w nie uwierzył.

Niektóre z onych tabliczek były prawie do szczętu przetarte, a wszystkie zżółkły ze starości.

— Mogę ci to powiedzieć teraz, że mam w tej skrzynce zupełną historyą; nazywam ją zupełną dlatego, że jest stwierdzona takiemi dokumentami jakie rzadko historya posiada. Z tych danych dowiesz się, z jakiego pnia pochodzą wszystkie te szybkonogie odrośle, tamta i ta oto, co się tak prosi, żebyś na nią spojrzał, żebyś ją popieścił.

Jak one przyszły tu do nas, tak ojcowie ich, nawet z najpierwotniejszych czasów, przybywały do przodków moich pod taki sam namiot, jak ten oto mój jadły jęczmień z dłoni i rozmawiano z niemi, jak z dziećmi, za co one, jak dzieci, dziękowały spojrzeniem. Synu Izraela wierz memu zapewnieniu, że jak jam panem pustyni, tak to są moi ministrowie. Odbierz mi je, a będę jako chory człowiek, którego porzucono na rozdrożu, żeby umarł. Im to zawdzięczam, że pomimo podeszłego wieku, nie przestaję być postrachem na drogach pomiędzy miastami i poty nim będę, dopóki zdołam dosiadać me arabczyki. Ha! ha! ha! Mógłbym ci opowiedzieć cuda, jakich dokonywali ich przodkowie! Może upatrzę na to kiedy chwilę czasu. Teraz powiem ci tylko tyle, że ich jeszcze żaden koń nie prześcignął, i na miecz Salomona żaden nie dosięgł ich w pogoni. Prawda, że to było na piasku pustyni i pod siodłem ale teraz nie wiem, lękam się o nie... Mają biegać pierwszy raz w jarzmie.... Powodzenie jest ujęte pewnemi warunkami. Mają one ambicyą, rączość i wytrwałość... Jeżeli znajdę zręcznego woźnicę, to odniosą zwycięztwo. Synu Izraela! jeśli ty odpowiesz moim oczekiwaniom, to przysięgam, że szczęśliwy będzie ten dzień który cię tu sprowadził... Teraz ty mi powiedz co o sobie.

— Zrozumiałem już, dlaczego arab stawia konia zaraz po swych dzieciach; zrozumiałem także, dlaczego konie arabskie są najlepsze w świecie. Zacny szeiku, nie chciałbym, żebyś mię sądził z samych tylko słów, bo, jak ci wiadomo, obietnice ludzkie nie zawsze się spełniają. Pragnąłby ci dać dowód mej umiejętności, powierz mi więc jutro swoją czwórkę.

Ildemirowi rozjaśniła się znowu twarz i chciał coś powiedzieć.

— Zaczekaj czcigodny szeiku, daj mi dokończyć! -- rzekł Ben-Hur.—Nauczyłem się wiele od mistrzów mych w Rzymie, alem się nie spodziewał, że mi się to przyda w takiej oto okoliczności.

C. d. n.